

ANDRZEJ TARANEK

## CZTERY WIDOKI GÓRY FUJI WIDZIANE ZE STOCZNI GDAŃSKIEJ

*Synowi Jędrzejowi*

Czy mógłby mieć jakiś związek z Gdańskiem cykl słynnych *Trzydziestu sześciu widoków góry Fuji*, wykonanych w pierwszej połowie XIX wieku w technice barwnego drzeworytu przez Katsushikę Hokusai<sup>1</sup>, mistrza drzeworytu, artystę japońskiego? Hokusai w Gdańsku – kto by pomyślał. Może odkryto go w bogatych zbiorach grafiki Biblioteki Polskiej Akademii Nauk przy ulicy Łagiewniki, a może pod którąś z warstw tapety w rozbieranym właśnie domu w Nowym Porcie, w tym opodal przystani tramwaju wodnego?

Znałem go od dawna i zawsze wzbudzał moją ciekawość. Dom, a może bardziej dwór, był duży i rozłożysty, pochodził z początków XIX wieku. Pamiętam jego widok na starej grafice – wyglądał tak samo, jedynie otaczające go drzewa były wówczas bardzo małe. Miał dwuspadowy dach kryty dachówką holenderską i wielką przeszkloną werandę, przez którą wchodziło do wnętrza. Dach werandy był tarasem, na który można było się dostać z pokoju na piętrze przez drzwi i wnękę o kształcie podobnym do zwieńczenia romańskiej absydy lub części Groty Szeptów w Parku Oliwskim. Zwieńczał to wszystko tympanon, nadając całości śródziemnomorską lekkość dworów podobnych do tych na Polankach. Przez lata zmieniał swoje przeznaczenie, a w czasach, o których opowiem, był gospodą. Było to zatem miejsce charakterystyczne dla miast portowych, w których dobijano wątpliwych transakcji, splukiwano z gardel sól, a pewne damy leczyły marynarzom uciążliwość zbyt długich rejsów. We wspomnianej gospodzie było kilka pokoi, które wynajmowano przeważnie oficerom marynarki gotowym do objęcia posady, czasami agentom oczekującym na dyspozycje armatorów. Zdarzały się też bardziej zaskakujące tajemnicze historie, jak ta, o której doniosła lokalna prasa w czerwcu 1910 r.

---

<sup>1</sup> Katsushika Hokusai (1760–1849), słynny artysta japoński, malarz, mistrz drzeworytu. Twórca między innymi cyklu barwnych drzeworytów znanych jako *Trzydzieści sześć widoków góry Fuji*. Uważane są za rodzaj kanonu sztuki japońskiej, wielokrotnie komentowane, wybitne dzieło sztuki.

Ze statku, który szedł z Amsterdamu, a wcześniej odbył daleką podróż na Wschód, zszedł na ląd oficer marynarki, Holender Hendrick Goltzius. Jeszcze przed wplynięciem do Kanalu Sueskiego skarżył się on na różne dolegliwości, w tym na pojawiającą się i równie szybko odchodzącą gorączkę. Niby nic, podobne problemy dotyczyły wielu ludzi Zachodu podróżujących na Daleki Wschód. Statek zawinął wprawdzie do Królewca, gdzie pozostawił część ładunku, głównie tropikalne gatunki drewna i kauczuk. W Gdańsku pozostawił resztę ładunku, wypełnił ładownie zbożem, uzupełnił zapas węgla i stał gotowy do wyjścia w morze. Kapitan zdecydował, że odpłyną bez zmiennika, gdyż pozostała załoga była w komplecie, a bosman znalazł maszynę i zapewnił, że z pomocnikiem rejs o tej porze roku do Hamburga, w którym potwierdzono zastępstwo, jest bezpieczny i można wyjść z Gdańska o świcie. Chorego umieszczono w gospodzie. Umówiono też lekarza, który zobowiązał się dopilnować leczenia, a w razie konieczności umieścić Holendra w szpitalu.

Do tego momentu wypadki toczą się zwyczajnie, a podobnych historii wydarzyć się mogło tysiące. Zmieniać się tylko mogły strefy geograficzne, kraje i porty.

Pokój, w którym go ulokowano, znajdował się w mansardzie na końcu długiego korytarza. Budynek miał skrzydło po lewej stronie, nasłonecznionej popołudniem. Jego okna wychodziły na ogród i wąską rzeczkę, która wypływała z jeziora Zaspą, a ujście do kanału portowego miała sto metrów dalej. Stół, krzesło, szafa i łóżko stanowiły wyposażenie wnętrza, wykonane solidnie, jednak bez polotu i szczególnych ambicji. Klimatu dodawał jedynie kufer marynarski, który wniesiono następnego ranka wraz z listem referencyjnym i kopertą, zapewne rozliczeniem, czym kapitan dopełnił ostatnich formalności związanych z zamknięciem kontraktu. Kufry czy też skrzynie marynarskie w tamtych czasach były jeszcze w użyciu ze względu na praktyczność i solidność wykonania, co nie było bez znaczenia w ciągłej podróży. Mogły się one różnić gatunkiem drewna, z którego były wykonane, okuciami, wielkością, czasami zdobieniem. Ta była z ciemnego drewna, prosta, z mosiężnymi listwami w miejscach, w których zbiegają się krawędzie ścian. Jedynymi ozdobami były mosiężne uchwyty w kształcie smoków, za których łapy można było unieść skrzynię. Od frontu otwór na kluczyk został wpleciony w ornament w kształcie labiryntu. Na pewno nie była stylizowanym dziełem rzemiosła europejskiego, gdyż w tych wyrobach, chociażby niechcący, zawsze ujawni się jakaś synteza historycznych stylów. Proporcja kufra w swojej prostocie była intrygująca.

Pierwsze dni pobytu na lądzie nie wykazały poprawy zdrowia chorego, wykonane badania i analizy niczego pewnego nie ujawniły. Pobyt zapowiadał się na dłuższy i sam oficer zdecydował się pozostać w Gdańsku tak długo, dopóki nie ustąpią wszystkie dolegliwości. Wiedział też, że środki, które posiadał, z należnościami wyplaconymi przez kapitana, szybko będą topniały. Dlatego w chwilach, gdy ustępowała gorączka i wracała równowaga, przekonywał siebie, że nie jest tak źle, gdyż posiada trochę cennych przedmiotów, które w ostateczności będzie mógł sprzedać. Pomyślał wówczas o tece z drzeworytami japońskimi, którą może

trzy lata temu włożył na dno skrzyni. Wczoraj, będąc w Gdańsku, w witrynie jednego z antykwariatów zobaczył pięknie oprawioną grafikę, podobną do tych, które posiadał. W drodze powrotnej do gospody przypomniał sobie ten wieczór, kiedy Pan Watanabe przy ostatnim spotkaniu, wspominając kilkuletnią znajomość, zapewniał o swojej nieustającej wdzięczności za okazaną życzliwość wobec kantoru maklerskiego, którego był właścicielem. Wręczył mu oprawioną w płótno tekturową teczkę, mówiąc: „To niewiele waży, a może pomóc w trudnych chwilach”. Po czym z tajemniczym uśmiechem dodał: „Wiem, wiem, wy, ludzie Zachodu, bardziej docenicie te niewielkie papiery, na których widnieją portrety jakichś osób w płataninie przecinających się linii i cyfr. My zaś szukamy w obrazie wzruszeń i kontemplacji”.

Hendrick Goltzius nie znalazł się na sztuce, ale pochodził z Amsterdamu, gdzie dawni rodzimi mistrzowie i wyroby ze Wschodu zawsze były cenione i w wielu domach widział ich przykłady, a słowa wypowiedziane tamtego wieczoru dzisiaj zaczął w pełni rozumieć. Gdy znalazł się w pokoju, po chwili odpoczynku z przejęciem wydobyl teczkę i pierwszy raz bardzo skupiony oglądał prace. Najpierw obejrzał papier, na którym były wykonane. Stwierdził, że struktura wcale nie jest gładka i biała jak wykrochmalona koszula. Spojrzał pod światło i zauważył, że prześwituje, ale nierównomiernie, co świadczy, że nie jest to wyrób fabryczny, ale wykonany ręcznie. Sceny, widoki i postacie przedstawione w drzeworytach były obwiedzione czarnym konturem. Wypełniały go wewnątrz barwne płaszczyzny i plamy, które czasami się przenikały, a bywało, że nieznacznie wychodziły poza kontur, co mu się podobało, gdyż oglądane z pewnej odległości sprawiały wrażenie, jakby wszystko się poruszało. Powrócił myślami do miejsc, w których przebywał. Wydawało mu się, że na drzeworytach rozpoznaje miejsca i sceny, których wielokrotnie był świadkiem. Most, a dalej mrowie ludzi przy jakichś zajęciach, wozy, deszczowy pejzaż i łodzie rybackie zmagające się z falami przyboju, a wszystko takie kolorowe. Drzeworytów było dziewięć, na czterech dominowała góra z ośnieżonym szczytem. Widział ją kilka razy i słyszał, że dla Japończyków jest święta. Przypomniał sobie, że rozpoznawano małe obrazki przedstawiające górę. Mówiono przy tym, że przynosi szczęście, podobnie jak w Europie wizerunki świętych mające zapewnić przychylność i opiekę. Nie zainteresował się jednak tym głębiej. Pomyślał, że to jakaś miejscowa tradycja i emocje wobec wielkości i dostojeństwa natury.

Góra nazywała się Fuji, na jednej z grafik została przedstawiona od strony morza. Patrząc na ten drzeworyt, poczuł, że jest mu szczególnie bliski, bo przywołał w pamięci chwilę, gdy pierwszy raz ją zobaczył. Dobrze pamięta te wody i gwałtowne sztormy, które wywoływały ogromne fale, bardzo niebezpieczne, do dziś gdzieś w mrokach duszy budzące strach. Był świadkiem, gdy zaskoczona zmianą pogody krusze łodzie rybaków płynęły wprost na nie i wydawać by się mogło, że były bez szans. Za chwilę nastąpi zderzenie i wszystko może się wydarzyć... Trudno jednak przewidzieć, kto będzie zwycięzcą – natura czy człowiek. Był zdumiony swoim

odkryciem, a przecież widział tę grafikę kilka razy. Powróciły wspomnienia, był pewien, że nigdy nikomu jej nie odda.

Potem, gdy się położył i próbował zebrać myśli, uświadomił sobie, że pokłady pamięci są jak półki i szafy gdzieś w zapomnianych korytarzach naszego umysłu – przechowują odkładające się tam przeżycia, obrazy, czasami jakieś mało istotne szczegóły. Potem nagle otwarte drzwi, porcelanowa figurka, jakiś zapach... – i cały ten świat zaczyna nas wchłaniać i nie wiadomo, dokąd nas zaprowadzi. Chyba pierwszy raz uświadomił sobie siłę sztuki. Zastanawiał się, czy uda mu się to wszystko ułożyć w jakąś logiczną całość, czy ma to jakiś głębszy sens. W końcu zmęczony usnął.

Nazajutrz wybrał cztery prace, w tym tę, która tak go ujęła. Liczył, że właściciel antykwiariatu wyda fachową opinię o drzeworytach. Był też ciekaw ich wartości. Zwinął je delikatnie w rulon i włożył do tuby, w której przechowywał lunetę. Podarunek od ojca na pamiątkę złożonego pomyślnie końcowego egzaminu na Wydziale Mechaniki Okrętowej Politechniki w Aacheen, co potwierdzał srebrny szyldzik z dedykacją.

Wychodząc z gospody, zapytał kurtuazyjnie mijanego w drzwiach właściciela o pocztę; chociaż wiedział, że nic nie nadejdzie, to jednak chciał zachować pozory normalności. Zauważył przy tym, że został zmierzony wzrokiem, jakby oceniano jego stan. Najwyraźniej wypadł dobrze, a i tuba odegrała tu swoją rolę. Sprawdza statki na redzie, tak mógł pomyśleć gospodarz, więc nie będzie kłopotu, poprawił się, a wyglądał kiepsko. Potem raz jeszcze spojrzął za odchodzącym, trochę zaskoczony tym, że udał się nie w lewo, w kierunku latarni i wejścia do portu, a zatrzymał się na pomoście, do którego za kwadrans miał dobić mały kuter parowy utrzymujący stale połączenie pomiędzy Nowym Portem a przystanią na Wyspie Spichrzów w pobliżu Zielonej Bramy. Hendrick Goltzius przyglądał się dopływającemu kutrowi, zobaczył dwóch mężczyzn gotowych do opuszczenia pokładu oraz jednego na dziobie z liną, szykującego się do rzucenia cumy. Znal taki manewr – marynarz rzuca cumę na pachołek tylko na chwilę, tak aby wysiadający i wsiadający znaleźli się w miejscu przeznaczenia, po czym podrywając linę, zwalnia kuter, pozwalając mu właściwie bez zatrzymania prześliznąć się wzdłuż pomostu i odpłynąć. Mimo że nie był w pełni zdrowy, pewnym krokiem wstąpił na pokład, nie wzbudzając zainteresowania, gdyż ubiór, a przede wszystkim tuba z lunetą przy ramieniu zdradzały człowieka morza i nie wymagał lepszych referencji.

Płynęli długo, parowiec miał jeszcze kilka przystanków przy składach węgla i drewna, potem zbliżył się do terenów stoczniowych. Tu z ciekawością przyglądał się wielkim dźwigom i kadłubom budowanych statków, właściwie były to okręty wojenne, co potwierdzały smukłe sylwetki i nadbudówki skupione w środkowej części kadłuba, potężne kominy i wieże, na których zostanie ustawiona artyleria. Wszystko to budziło respekt i prowokowało różne przypuszczenia. Potem pojawiły się przedmieścia, wpłynęli na Motławę, w końcu kuter zbliżył się do pomostu

przy starych spichrzach i moście zwodzonym. Wysiadając, Goltzius wcisnął bez słowa cumującym holenderskiego guldena, potem drewnianymi pomostami przez most dotarł do wielkiej bramy. Wiedział, że znajduje się w sercu miasta i że kierując się z tego miejsca w prawo, dotrze do wąskiej uliczki przy wielkiej katedrze, gdzie w oknie antykwiariatu widział drzeworyt japoński. Odszukał to miejsce, jednak za szybą grafiki nie było. Rozejrzał się wokół i upewnił się, że to było tutaj – nad drzwiami widniał ten sam zielony szyld ze złotymi literami, a na wystawie nadal stała porcelanowa waza z niebieskimi dekoracjami, przypominająca wyroby wschodnie albo delfickie<sup>2</sup>. To niebywale, że na krańcach Europy mogło być takie miejsce.

Poczuł się niepewnie. Może to gorączka wracała, a może ta ogromna budowla z czerwonej cegły, milcząca ponad rzeczywistością, potęgowała wrażenie niepokoju. Po chwili wszedł do kantoru. Pomieszczenie przypominało bardziej magazyn antyków niż miejsce, w którym oferuje się dzieła dla nabywcy o sporej zawartości portfela. Nie odwiedzał takich miejsc. Zwykle zaglądał przez szybę i teraz czuł się trochę niezręcznie. Starszy jegomość siedzący za wielkim biurkiem ogarnął spojrzeniem całą jego postać, sądząc, z kim ma do czynienia. Na końcu skupił wzrok na tubie wystającej spod ramienia i tak pozostał. Trwali tak chwilę, nie zdradzając swoich zamiarów.

– Zainteresowałem się wazą, tą stojącą w witrynie. Czy jest to wyrób wschodni czy Delfty? – zapytał Goltzius.

– Delfty – wycedził chłodnym tonem gospodarz. Ale bardzo drogie – wyraźnie zniechęcał.

– Jestem czasowo w Gdańsku i kilka dni temu w witrynie pańskiego antykwiariatu widziałem także piękny drzeworyt i on mnie bardziej interesował. Jestem oficerem marynarki, bywałem na Wschodzie. Interesuje mnie sztuka. Chociaż nie mam dużego doświadczenia, staram się poszerzać swoją wiedzę. Czasami coś kupuję.

Wypowiedział to jednym tchem, z nadzieją złagodzenia atmosfery. Antykwarisz nadal nieufnie i w milczeniu przyglądał się gościowi, chociaż odsunął wzrok od tuby i pomyślał tylko, z czym przyszedł: „Może naprawdę chce coś kupić?”

– Drzeworytu już nie ma. Sprzedany. Tam jest jeszcze kilka – wskazał na niewielki stolik – ale słabsze artystycznie. Wszędzie są partacze – zamruczał. – Tamten był prawdziwy Utamaro. Cenny, sprzed stu lat! Zdobyłem go – oznajmił z tryumfem – ale był bardzo pognieciony, jak gdyby coś w niego zapakowano. Przyjaciel kustosz z biblioteki zna się na papierach, odświeżył go i fachowo zabezpieczył. Ale już go nie ma – powtórzył.

---

<sup>2</sup> Delfty – nazwa fajansów wytwarzanych w mieście Delft, Holandia w XVII i XVIII wieku, także współcześnie. Charakterystyczną cechą tych wyrobów (wazy, naczynia, płytki ścienne) były dekoracje niebieskim barwnikiem – kobalt, a przedstawiające tematy rodzime lub naśladowane i przetwarzane wzory orientalne. Wysokie wazy umieszczane w koronie szaf gdańskich stanowiły rozpoznawalny element sieni bogatych kamienic gdańskich w XVII wieku.

– Czuję się niezręcznie. Nie jestem bywalcem takich miejsc, ale zdecydowałem się Panu coś pokazać. To pamiątka i nie na sprzedaż, ale mam chwilę, żeby porządkować swoje sprawy – wyjaśnił.

Zdjął tubę z ramienia i wyjął rulon. Położył go na biurku i rozwinął. Antykwarisz uniósł się, widząc jedynie fragment grafiki, po czym pochylił się, studiując szczegóły i cały obraz. Wreszcie ciężko opadł na fotel, próbując tłumić emocje. Nic nie mówił, wiedział jednak, że są wysokiej klasy, ale zastanawiało go, kto był ich twórcą. Doszedł do siebie i z wyraźną nonszalancją powiedział:

– To ciekawe. Nigdy podobnych nie widziałem. Szczególnie te dwa z motywem góry wydają mi się jednej ręki. Widoczny jest zamysł. Wygląda to na cykl, ale sam zbyt dużo na ten temat nie mogę powiedzieć.

Widać było, że próbuje ukryć silne wrażenie, by nie powiedzieć za dużo i dać szansę wydarzeniom, które mogą jeszcze nastąpić.

– To nie moja specjalność, ale znam kogoś, kto rzetelnie oceni te dzieła. Powiem wprost – nie chodzi o pieniądze. Robię to z uwagi na te grafiki, bo mi się podobają. Zostaw Pan dwie, wystawię pokwitowanie. Potem będziecie rozmawiać sami.

Chwilę się wahał, ale sytuacja zaskoczyła go. Pozostawił dwie grafiki, w tym tę tak mu bliską. Poczul, że ryzykuje, ale to hazard, który zachęcał do gry. Kwit z pozostałymi grafikami włożył do tuby. Pożegnał się, potwierdzając wizytę w mieście za dwa dni i wyszedł.

Słońce trochę się przesunęło, uliczka była bardziej jasna i pojawili się jacyś ludzie. Zamyślił się, co ma zrobić, dokąd pójść? Zaczęły bić dzwony, wpierywając *carillon* na wieży ratusza, potem mroczny i tajemniczy w katedrze. Mijało południe. Spojrzał do góry i nie miał pewności, czy to, co przeżył, jest prawdą, czy powraca gorączka. Wydostał się z okalających katedrę ciasnych uliczek na szerszą i tam w perspektywie zobaczył monumentalną fasadę rozłożystej budowli z pięknym szczytem. Poszedł jednak dalej, aby po chwili znaleźć się przy tej, która była najbardziej reprezentacyjna dla miasta. Otoczył go gwar tego miejsca, w pobliżu przesunął się tramwaj konny, mijali go ludzie, zachęcająco kusily wzrok witryny bogatych sklepów. O czym myślał, nie wiemy. Na pewno w sklepie z materiałami piśmiennymi, eleganckimi etui do wizytówek i spinkami do koszul kupił plan miasta. Potem minął bramę i obok eleganckiego hotelu Danzinger Hoff umówił dorożkę. Wprawdzie istniała już linia tramwajowa do Nowego Portu, jednak zdecydował się na ten środek lokomocji.

Jechał wpierywając wzdłuż solidnych kamienic i dworca kolei, potem brukowanym traktem wzdłuż muru stoczni, którą widział, płynąc kanałem. Oddalał się od miasta, ale czuł, że odkrywa nowy świat, równie egzotyczny jak ten na japońskich drzeworytach. Gdy minęli ujście rzeki za stoczniami i dorożka trzęsła się na słabej drodze, woźnica raz tylko odezwał się, wskazując batem drugą stronę rzeki, a może jej brzeg. Opisał to jednym słowem: „Holm”, ale co oznaczało, nie powiedział. Jechali w milczeniu dalej aż do gospody. Tam kazał się zatrzymać, opłacił kurs i pelen wrażeń, zmęczony dotarł do pokoju.

Znów próbował zebrać myśli, łączył je z wnioskami poprzednich rozważań, ale nic się nie układało. Przypominało to bardziej widziane wielokrotnie mapy, przedstawiające wiele nieznanych miejsc – przylądki, jakieś wybrzeża i ujścia rzek. Dopóki ich nie przepłynie, nie będzie wiedział, gdzie jest i co go czeka. Nie czuł się jeszcze zbyt dobrze, a wrażenia, których doświadczył w ostatnich dniach, nie łagodziły dolegliwości. Czuł się jednak pobudzony.

Umówione spotkanie wypadło w piątek. Do tego czasu starał się odpocząć, studiował plan miasta i okolic. Zauważył, że prócz starego miasta, stoczni i portu, wzdłuż zatoki zlokalizowane są małe osiedla, może kurorty wypoczynkowe i zaznaczone niewielkie mola, a w miejscowości Zoppot najbardziej okazałe. Potwierdziła to potem wyprawa do ujścia kanału portowego, gdzie przy latarni morskiej, której szczyt zwieńczała kula czasu, przeprawił się łodzią na Westerplatte. Potem przeszedł wzdłuż zadbanej promenady, wokół której mieściły się restauracje z letnimi ogródkami, a dalej za pasmem niewielkiego lasu rozciągała się plaża. Był czwartek i zobaczył tylko niewielkie grupki osób spacerujących brzegiem. Ciepła bryza od morza i kilka statków stojących na redzie działały lepiej niż mikstury zalecone przez doktora. Z końca mola przy łazienkach plażowych roztaczał się imponujący widok na całą zatokę. Ucieszył się, że zabrał lunetę i teraz z zainteresowaniem przyjrzał się szkunerowi, który pod pełnymi żaglami, idąc ostro do wiatru, próbował wejść do kanału. Przyjrzał się dwóm parowcom, z których jeden na pewno był szwedzki. Natomiast gdy skierował lunetę bardziej na lewo, zobaczył wyniosły klif, który dochodził do brzegu, a trochę bliżej białe molo głęboko wchodzące w zatokę. Widać było wieże kościołów, a wśród nich wiele domów, które mogły być pensjonatami. Bliżej zobaczył kolejne molo, ale już niewielkie i jeszcze jedno po drugiej stronie kanału portowego. Trochę zaskoczony tymi obrazami zaczął doceniać bogactwo i różnorodność miejsca, do którego zawiódł go przypadek. Ożywiony wrażeniami i dobrym nastrojem, któremu nadal sprzyjała łagodna pogoda, postanowił zatrzymać się w którejś z restauracji na obiad i tak zakończyć dzień. Myślał też o jutrzejszym spotkaniu.

Było wczesne popołudnie, gdy znalazł się ponownie przed drzwiami antykwarium. Tym razem bardziej zdecydowanie i bez ułożonego w głowie planu wszedł do wnętrza. Zobaczył antykwarium i drugą postać. Na widok jego osoby przerwali rozmowę. Pierwszy odezwał się gospodarz:

– Witamy pana. Oto pan Roth, o którym wspomniałem. A to nasz przybysz z Dalekiego Wschodu – zwrócił się do Rotha.

Spojrzeni na siebie z zainteresowaniem i obaj mogli pomyśleć to samo: „Dzięki Bogu, nie wygląda na handlarza, więc rozmowa będzie ciekawsza?”. Roth zaczął rozmowę:

– Słyszę, że wrócił pan ze Wschodu. Co zatrzymało pana w naszym mieście?

– Oczekuję na statek, który utknął gdzieś w Zatoce Fińskiej i będzie w Gdańsku za dwa tygodnie. Mam więc czas i porządkuję swoje sprawy. Drzeworyty to pamięt-

ka. Krążą ze mną po świecie, czasami do nich zaglądam. Kilka dni temu zobaczyłem w witrynie barwny drzeworyt, byłem ciekawy opinii o moich i tym sposobem znalazłem się tutaj. Nie myślę ich sprzedawać, bardziej interesuje mnie wartość artystyczna tych prac – wyjaśnił Goltzius.

– Widzę, że rozmawia pan ze mną szczerze, więc również ja powiem, dlaczego się tu dzisiaj znalazłem. Mieszkam w Zoppot. To niedaleko nad zatoką. Jestem właścicielem pensjonatu i kolekcjonerem sztuki Dalekiego Wschodu. Szczególnie interesuje mnie porcelana i dzieła na papierze. Zgromadziłem ponadto bibliotekę poświęconą temu tematowi. Uchodzę tu za eksperta, jednak nie z dyplomem uniwersyteckim, co ma swoje zalety, gdyż mogę forować bez uszczerbku swobodnie opinie. Jednak gdy dostrzegam prawdziwe dzieła sztuki, możesz być pan pewny rzetelnej oceny. Dwie z czterech pokazanych mi przez pana Simonsa prac niewątpliwie zasługują na uwagę. Myślę, że rozpoznałem autora. Teraz zwracam je panu i zapraszam do Zoppot w niedzielę. Wtedy postaram się pomóc rozwiązać zagadkę.

Wypowiadając ostatnie słowa, spojrzal na antykwariusza, który skinieniem głowy wyraził zadowolenie z finału rozmowy. Poprosił Goltziusa o adres miejsca, w którym się zatrzymał, i wręczył bilet wizytowy, zapowiadając, że przyśle doróżkę. W końcu Roth pożegnał się i wyszedł. Holender pozostał jeszcze chwilę z właścicielem antykwariatu, by podziękować za pomoc. Uścisnęli sobie dłonie, nie wiedząc, czy kiedykolwiek się jeszcze spotkają. Wyszedł, raz jeszcze spojrzal na wazę stojącą w witrynie i uśmiechnął się w duchu, myśląc, jak łatwo przyszło mu kłamstwo o celu pobytu w Gdańsku.

Wrócił do Nowego Portu jak poprzednio doróżką i gdy znalazł się w pokoju, wyjął grafiki z tuby i tę swoją ulubioną powiesił na ścianie, tak że dolna jej krawędź jak zakładka w książce zachodziła w odklejoną tapetę, a górną część przypiął do ściany szpilką od krawata. Miejsce było dobre, gdyż widział ją z każdego miejsca pokoju. W sobotę odświeżył tylko ubranie i odbył długi spacer. Mimo że wieczorem słyszał gwar w restauracji na dole, szybko zasnął.

Rano ułożył grafiki w tece, zszedł na dół powiadomić portiera, że oczekuje doróżki i poprosił, aby go powiadomić, gdy się tylko pojawi. Była 10, gdy usłyszał pukanie i wiadomość: „Doróżka czeka”. Włożył marynarkę, zabrał tekę i zszedł. Pogoda od kilku dni była przyjemna, tak więc cieszył się wycieczką w nowe okolice. Doróżkarz okazał się rozmowny i informował go o trasie przejazdu. Wyjechali z Nowego Portu i szybko dotarli do Broesen (Brzeźna), małego kurortu tuż za wejściem do portu. Minęli właśnie nowy Kurhaus, zbudowany na miejscu starego, który spłonął (o czym poinformował doróżkarz). W prześwitach nadmorskich sosen zobaczył łazienki plażowe, molo i tramwaj, który stał na końcowym przystanku tuż przy plaży. Była niedziela, więc przed Halą Plażową widać było wielu spacerowiczów. Dalej droga prowadziła wśród łąk, wzdłuż wybrzeża. Po dwudziestu minutach minęli kolejne osiedle o nazwie Glettkau (Jelitkowo), także zadbane, z restauracjami i parkiem. Po chwili widać było z daleka wylaniające się domy, a nieco bliżej małą przystań rybacką.



– Dojeżdżamy – powiedział dorożkarz. – Dzisiaj Zoppot to miasto, a nie tak dawno mówiło się wioska rybacka. Bardzo się rozbudowuje i nie tylko w sezonie jest bardzo wielu przyjezdnych.

Pensjonat okazał się ładnym budynkiem, ukończonym pod koniec minionego stulecia, co potwierdzała data umieszczona w kartuszu nad bramą. Architektura nawiązywała do historyzmu<sup>3</sup> i budowla była podobna do niewielkiego zamczku, którego spadziste dachy, stożkowate zwieńczenia wież, balkony i okna budziły przyjemne odczucia. Jak się później okazało, Roth miał na piętrze niewielkie wygodne mieszkanie z drugim osobnym wyjściem przez wieżę, które prowadziło do altany na tyłach ogrodu. Na parterze mieściła się recepcja i niewielka restauracja. Zobaczył ją przez kryształową szybę w drzwiach. Wnętrze było ciemne, wyłożone boazerią, której porządek wyznaczały jakieś skomplikowane geometryczne podziały i gdyby nie przeszklone drzwi do restauracji, miałby wrażenie, że wszedł do szafy. Było to przyjemne uczucia, gdyż jako dziecko często ukrywał się w szafach, co wywoływało wśród domowników rodzaj paniki i przerażenia związanego z poszukiwaniem, jego zaś bawiło, zachęcając do bardziej tajemniczych zniknięć.

Roth prawdopodobnie dostrzegł podjeżdżającą dorożkę, gdyż po chwili zszedł do holu i przywitał się, zapraszając do restauracji. Miał tam swój stolik, przy którym krzątała się młoda kobieta. Ustawiała filiżanki, a gdy usiedli, przyniosła porcelanowy czajnik z kawą i ciasto.

– Obiad spożywam o 14.30 i myślę, że teraz jest dobra pora, aby wypić kawę i chwilę porozmawiać. Z przyjemnością widzę pana, gdyż nieczęsto udaje mi się tu porozmawiać z kimś, kto powrócił ze Wschodu. Nowości nie oczekuję, bardziej zajmuje mnie klimat i atmosfera tamtych stron. Czasami ktoś, tak jak pan, przywiezie coś ciekawego. To miejsce nie jest szczególnie na rozwijanie takich zainteresowań, chociaż pojawiają się wysokiej klasy dzieła, najczęściej z poprzednich epok, wystawiane na aukcjach rozporządzeniem testamentu, a przywożone tu z pana rodzinnych stron w XVII i XVIII wieku. W Gdańsku są jeszcze stare znane familie lub ich potomkowie. To dobre źródło wzbogacania kolekcji. Zapoznany z tutejszym rynkiem jest antykwariusz poznany przez pana w Gdańsku i on informuje mnie o pojawiających się wartościowych dziełach. Bywam też w Berlinie, Amsterdamie, Paryżu. Czasami kupuję, ale głównie literaturę, najnowsze opracowania dotyczące tych spraw, odwiedzam muzea, bywam w antykwariatach. Jest pan człowiekiem morsa i wspomniał, że przez przypadek wszedł w posiadanie drzeworytów...

– Tak, kiedyś подарowano mi ten zbiór. Traktuję go jako sentymentalną pamiątkę, chociaż ostatnio bardziej się nimi zainteresowałem. Właściwie przez jedną z nich – tę, którą pan już widział.

Kończyli kawę i Roth zaproponował spacer promenadą w kierunku mola:

---

<sup>3</sup> Historyzm – styl w sztuce, rozwinął się u schyłku XIX wieku, w architekturze przejawiał się naśladowaniem form historycznych. Występował także w eklektyzmie.

– Zoppot stał się już bardzo znany, może za kilka lat, podobnie jak Ostenda czy kurorty nad Morzem Śródziemnym, stanie się w tej części Europy najbardziej pożądanym – wyjaśnił goście. Rzeczywiście wokół widać było hotele, wille i pensjonaty, obszerny Kurhaus i ludzi z towarzystwa rozmawiających w różnych językach. – Posiadamy regularne połączenie z Królewcem i czynne od niedawna do Berlina, wzdłuż wybrzeża Bałtyku. Istnieje też połączenie z Polską, skąd mamy coraz więcej zamożnych kuracjuszy – dodał Roth.

Wrócili do pensjonatu, gdy nadeszła pora obiadu. Roth zdawał się budować pewną dramaturgię spotkania. W czasie obiadu potwierdził, że w swoich zbiorach posiada przykłady drzeworytu japońskiego i konfrontacja z tymi, które są własnością Goltziusa, bardzo go interesuje. Wspomniał o tych z motywem góry, gdyż opisy w literaturze pozwalają mu potwierdzić pewne przypuszczenia co do ich autorstwa.

Od wizyty u Rotha w Zoppot minęło kilka dni. Była środa, tego dnia ostatni raz widziano Hendricka Goltziusa wychodzącego z gospody około 16. Poniedziałek był piątym dniem jego nieobecności, więc właściciel gospody postanowił otworzyć drzwi do pokoju, aby stwierdzić, co się właściwie wydarzyło. W pokoju nikogo nie zastał. Panował ład, jednak to go nie uspokoiło. Postanowił poczekać do wieczora, a potem udać się na posterunek i powiadomić policję. Komisarz przyjął informacje, dokonał wpisu do księgi i zapewnił, że pojawi się rano na miejscu. Poleciał także niczego nie ruszać i zabezpieczyć pokój.

Nazajutrz już na schodach werandy gospodarz ruchem głowy potwierdził sytuację z dnia poprzedniego i po zabraniu klucza, który przechowywał w swoim mieszkaniu, udali się na piętro. Jak poprzedniego dnia, pokój zalegała cisza:

– Proszę, niech pan się rozejrzy, a ja otworzę okno i wpuszczę świeże powietrze. Porządek, który tu panował, rzeczywiście nie sugerował jakiegoś dramatu, przeciwnie – banalną normalność wynajmowanego pokoju. Uchylone drzwi szafy, stół, miejscowa gazeta z soboty, plan miasta, flakonik z jakimiś kroplami, szklanka, niewielki pojemnik apteczny do przechowywania leków, ołówek. Zainteresowanie wzbudziła wizytówka leżąca na planie miasta. Nazwisko nic nie mówiło komisarzowi, jednak zabrał ją, zajrzał do szafy, po czym z ciekawością przyjrzał się kufrowi. Wówczas dostrzegł leżącą na podłodze szpilkę do krawata. Podniósł ją, obejrzał i bez specjalnego zainteresowania położył na stole.

– Skrzynia jest zamknięta, może tam jest jakiś ślad. Mamy fachowca, przyjdziemy po południu, zamek nie wygląda na skomplikowany, bez trudu poradzi sobie z nim. Nadal proszę niczego nie ruszać i dobrze zamknąć drzwi – polecił policjant.

– Widziałem odklejoną tapetę, wezmę chłopaka i dokleimy ją, może ktoś jeszcze się pojawi. Zależy mi, aby pokój wyglądał porządnie.

– Dobrze, ale po południu, gdy będę na miejscu – zastrzegł policjant.

Wydarzenia nie powinny budzić niepokoju, jednak tak długa nieobecność bez powiadomienia kogokolwiek budziła ciekawość. Wracając na posterunek, policjant zaszedł jeszcze na ulicę Oliwską (Olivaerstrasse) blisko koszar i dworca kolei, gdzie

mieścił się niewielki warsztat ślusarski. Właściciel był na miejscu, chociaż często bywał wzywany do pobliskich koszar na stację kolejową czy do portu. Oficer przedstawił problem, opisał zamek kufra i poprosił, aby udał się tam na 16. Na posterunku tym razem już dokładnie obejrzał wizytówkę, którą zabrał z pokoju w gospodzie. Pensjonat „Jassmin”, Zoppot, Charlottenstrasse 12, właściciel Carl Roth. Kobieta. To pierwsze, o czym pomyślał. Znal takie historie, chwilowe uniesienia, siedzi tam i zapominał o świecie. Zatelegrafował do kolegi z posterunku w Zoppot i poprosił o dyskretny wywiad, czy przebywa tam ktoś o nazwisku Goltzius. Może zatrzymał się u kogoś, może chodzi o kobiety?

Czas płynął szybko i musiał powrócić do gospody. Ślusarza jeszcze nie było, ale udali się z gospodarzem do pokoju. Po chwili pojawił się chłopak z miską, w której przygotował klej. Tapeta nie była jedną wstęgą klejoną od sufitu do podłogi, ale sklejo ją z dwóch części i pewnie dlatego dolna się odkleiła. Wytworzyła się pofałdowana kieszeń, co źle wyglądało. Chłopak niechlujnie zapuszczał klej w odchodzącą przestrzeń, co zirytowało właściciela, który upomniął go, aby przyłożył się do pracy i po chwili wszystko wyglądało prawie idealnie.

Ten moment, mimo że zwyczajny i prawie nieistotny, jest kluczowy dla całej historii, podobnie jak szpilka do krawata, która leży na stole całkowicie pominięta. Za chwilę wszyscy o tym zapomną.

Pojawił się również ślusarz, milcząco przyjrzał się kufrowi, rozłożył narzędzia na podłodze i powiedział:

– Ciekawe, ale nieskomplikowane.

Rzeczywiście po kilku minutach coś w zamku zgrzytnęło i można było otworzyć skrzynię. Pozostawił to komisarzowi, który delikatnie unióśł wieko i oczom zebranych ukazała się jego wewnętrzna strona, do której wklejona była mapa świata. Czerwoną ołówkiem wykreślono na niej prawdopodobnie trasy rejsów z datami. Wnętrze podobne było do typowego kufra podróżnego i składało się z szuflad nie wysuwanych, ale nakładanych jedna na drugą. W pierwszej na dnie leżała tekturowa teczka w czarnej płóciennym oprawie, która zawierała – jak to zapisał w protokole – obrazki chińskie lub japońskie oraz lunetę okrętową w tubie, prawdopodobnie złożone tu tymczasowo, gdyż było miejsce po przeniesieniu do szafy ubrań i bielizny. Następna była pusta, a kolejna zawierała złożony mundur marynarski, co potwierdzały złote guziki z wizerunkiem kotwicy, podobnie czapka, na której czole znajdowała się plakieta z podobnym motywem. W następnej były dokumenty, paszport, dyplom inżyniera i patent oficerski, potwierdzenie uprawnień do obsługi maszyn parowych różnego typu na statkach, także urządzeń dźwigowych. Były też wycinki prasowe, przy czym szczególnie zwracały uwagę te pokryte chińskimi lub japońskimi znakami. Był też pakiet listów przewiązanych białą-niebieską bawełnianą wstążką. Na dnie kufra były umieszczone różnej wielkości pudelka i kasetki wypełnione drobiazgami osobistymi, jedna zawierała pieniądze, których wartość była trudna do oszacowania, gdyż pochodziły z różnych stron świata. Po spisaniu

protokołu przez komisarza pod jego podpisem swój złożył także właściciel gospody. Następnie kufer spakowano, zamknięto, opieczetowano. Zamknięto i opieczetowano również pokój.

Gospodarz poprosił policjanta o chwilę rozmowy. Uznali, że najlepiej będzie przy stoliku na zewnątrz. Zanim powrócił z kufkami piwa, komisarz jeszcze raz przejrzał paszport. Wiedział już, jak się nazywa, kiedy i gdzie się urodził, z jakiego kraju pochodzi.

– Zszedł ze statku jakiś miesiąc temu, źle się czuł, chciał trochę odpocząć. To dobry klient, mało mówił, może trochę dziwny... Wie pan, marynarz. Można mi wierzyć, wiele tu widziałem. Ale ten był spokojny i grzeczny, chyba go lubilem. Boże! Mówię tak, jakby umarł, a przecież nie wiemy, gdzie jest. To wszystko, co wiem. Może jeszcze to, że czasami wychodził z lunetą, może oczekiwał statku, no i z tą teczką, którą widzieliśmy w skrzyni. Tydzień temu w niedzielę, gdy przyjechała po niego dorożka, mówił, że jadą do Zoppot.

Dopili piwo i pożegnali się. Potem, idąc wzdłuż kanału portowego, policjant pomyślał, że wszystko zaczyna się układać. Przeczował, że Zoppot jest dla toczących się wydarzeń ważny. Ale jaki będzie finał? Wzdłuż nabrzeża cumowało wiele statków i mimo późnego popołudnia panował ruch. Zatrzymał się na chwilę, przyglądając się odchodzącej od nabrzeża brygantynie o białym kadłubie, którą powoli obracano, kierując dziobem do ujścia kanału portowego. Na posterunku czekała wiadomość z Zoppot – nie zatrzymał się tam ani nie przebywa nikt o takim nazwisku, miejsce jest ciekawe, a właściciel pensjonatu jest znaną i szanowaną postacią. Mimo to komisarz pomyślał, że jednak tam może tkwić wyjaśnienie zagadki. Do tego nie dawała mu spokoju teczka z obrazami. To wszystko może mieć znaczenie. Jutro jest środa, czyli tydzień od zniknięcia Goltziusa. Postanowił oficjalnie złożyć wizytę Rothowi, nie umawiał spotkania, zależało mu na zaskoczeniu, które mogłoby wnieść coś nowego do sprawy. Przed bramą pojawił się późno, gdyż przedtem wstąpił na posterunek policji, aby upewnić się w tym, co przekazano w depeszy. Teraz dodano jeszcze, że nie miał konfliktów z prawem, a majątek jest w pełni udokumentowany i pochodzi ze spadku po rodzicach, nie jest żonaty i kolekcjonuje sztukę Dalekiego Wschodu. Wszedł do wnętrza. Portiera zapytał o właściciela, prosząc o przekazanie wizytówki i prośby o niezwłoczne spotkanie. Usiadł na sofie, układając w głowie scenariusz rozmowy. Nie miał doświadczenia w takich sprawach, jednak chciał zmierzyć się z zagadką.

– Słucham pana – dobiegł go głos. Zobaczył starszego mężczyznę.

– Dzień dobry! Nazywam się Walter Orłowski, jestem komisarzem policji z posterunku w Nowym Porcie. Chciałbym z panem chwilę porozmawiać. Sprawa jest delikatna i dotyczy obcokrajowca, który czasowo przebywa w Gdańsku.

– Proszę na piętro, mam tam gabinet. To spokojne miejsce i tam będziemy mogli porozmawiać. Czyżby chodziło o Goltziusa? Co się stało? – pomyślał. Gabinet nie wyglądał jak typowe biuro administratora hotelu, bardziej jak sala w muzeum.

Stały tam przeszklone szafy, na których ustawiono wysmukłe wazy z orientalną dekoracją, a wewnątrz wypełniała porcelana i przedmioty, których przeznaczenie trudne było do zidentyfikowania. W rogu pokoju na niewielkim cokole stała kamienna rzeźba przedstawiająca siedzącą uduchowioną postać o azjatyckich rysach. Na ścianach obrazy, o których miał się za chwilę dowiedzieć, że są drzeworytami i pochodzą z Chin i Japonii.

– Proszę, niech pan usiądzie. Słucham.

– Czy zna pan Holendra o nazwisku Hendrick Goltzius?

– Tak, oczywiście, gościłem go w pensjonacie tydzień temu i siedział tam, gdzie pan obecnie. Widzi pan wystrój gabinetu. Poza tym, że jestem właścicielem pensjonatu, jestem także kolekcjonerem i miłośnikiem sztuki Dalekiego Wschodu. Poznałem go u znajomego antykwariusza w Gdańsku. Pojawił się tam może miesiąc temu z drzeworytami podobnymi do tych, które pan tu widzi. To ostatni nabytek, bardzo ciekawy, sygnowany Hiroshige z motywem góry, podobny do tych Goltziusa. Znalazłem w specjalistycznej prasie ten sam egzemplarz, ale późniejszą edycję. Pierwsza zawiera kartusz z tytułem serii, pieczęć datującą oraz stemple wydawcy i cenzorskie. Zaprosiłem go do Zoppot, ponieważ chciałem zobaczyć wszystkie, które posiada, a on sam chciał się o nich więcej dowiedzieć. To człowiek wykształcony, oficer marynarki, nie handlarz. Przebywał na Wschodzie, nieczęsto zdarza mi się rozmawiać z ludźmi znającymi miejsca, którymi ja także się interesuję.

– Proszę pana, od tygodnia pan Goltzius jest nieobecny w miejscu zamieszkania. Wiemy, że przebywał tam czasowo, ale nikogo nie powiadomił o wyjeździe, a w pokoju pozostawił bagaż. Widziałem tam również teczkę z takimi obrazami. Czy pamięta pan, ile pokazał w czasie wizyty? – Było ich dziewięć – odparł z przekonaniem Roth, w tym cztery wyjątkowo cenne, mistrza Hokusai, w swoich zbiorach nie mam żadnej pracy tego artysty, ale pokażę panu reprodukcje w książce.

Rzeczywiście zobaczył tę samą stożkową górę z ośnieżonym szczytem.

Komisarz podziękował za uzyskane informacje, zapytał jeszcze, czy nie wyjeżdża, gdyż możliwe, że będą potrzebne dalsze wyjaśnienia, po czym pożegnał się i wyszedł. Postanowił w drodze powrotnej zatrzymać się w Gdańsku i udać się do Prezydium Policji, by złożyć oficjalny meldunek o wydarzeniu i poinformować o efektach śledztwa. Przełożeni zlecieli kontynuowanie działań i informowanie o wynikach. Cały czas intrygowała go zawartość teczek. Postanowił następnego ranka udać się na miejsce, jeszcze raz dokonać wnikliwego przeglądu pokoju, zebrać wszystkie przedmioty łącznie z ubraniem, spakować kufer i przewieźć wszystko na posterunek. Opuszczając gospodę, dowiedział się, że pojawił się dziennikarz, który wypytywał o zniknięcie Holendra. Kategorycznie zakazał informowania czy wydawania jakichkolwiek opinii o całym wydarzeniu. Pokój zostawił opieczetowany, poprosił, aby dać mu znać, gdyby cokolwiek się wydarzyło. Na posterunku sprawdził ilość drzeworytów w tezcze. Było osiem, a więc jednego brakowało. Uznał, że czeka go ponowna wizyta u Rotha w celu uzyskania opisu brakującego dzieła, chciał

także raz jeszcze zobaczyć to wnętrze. Odczuwał emocje wobec tego wszystkiego, co widział i czuł się coraz bardziej zaangażowany w sprawę. Zatelegrafował do Rotha, że będzie następnego dnia z wszystkimi pracami, poprosi o komentarz, gdyż potrzebny jest do sporządzenia protokołu. Od razu zauważył brak jednej pracy. Z czterech najcenniejszych pozostały trzy, teraz również komisarz zauważył, że są bliskie stylistycznie, jakby tworzyły fragment opowieści. Widział też Rotha. Ten, zanim się odezwał, wpiers chwilę milczał, jak przy Goltziusie, wyraźnie smakując ich rysunek, kolor i kompozycję. Potem powiedział:

– Ten, którego brakuje, był naprawdę wyjątkowy. Teraz to widzę. – Tu opisał, co przedstawiał drzeworyt i jak można zinterpretować jego przesłanie. Dodał też, że mistrz wykonał trzydzieści sześć widoków góry, które obecnie uznawane są za wybitne osiągnięcie drzeworytu japońskiego i stanowią rodzaj kanonu. Na koniec z wyraźnym przejściem wyraził niepokój o Goltziusa, wierząc, że wszystko się dobrze zakończy, a potem on w domu zdrojowym przygotowuje małą ekspozycję tych czterech prac i wygłosi prelekcję. Opuszczającego pensjonat komisarza poprosił o staranne obchodzenie się z pracami, szczególnie z tymi trzema. W drodze powrotnej, przeglądając miejscową gazetę, komisarz odkrył pierwszą notatkę o zaginięciu Holendra. Następnego dnia pojawiło się więcej informacji i bardziej fantastyczne, jakoby znany amsterdamski antykwariusz zaginął bez wieści, wraz z nim niewielki autoportret Rembrandta, który odkrył i nabył w małym antykwariacie obok katedry. Tego samego dnia do Prezydium Policji zgłosił się starszy jegomość, przedstawiając się jako właściciel antykwariatu. Rzeczywiście poznał Holendra, jednak ze sprawą zaginięcia nie ma nic wspólnego i wołał zgłosić się sam, aby pomóc w śledztwie. Całe wydarzenie nabierało rozgłosu, komentowane przez prasę, nawet policja podjęła szersze działania, aby odnaleźć zaginionego, ale bez rezultatów. Sprawa była głośna jeszcze przez jakiś czas, jednak w końcu zdominowała ją wiadomość o planowanej przyszlorocznej wizycie w Gdańsku pary cesarskiej na pokładzie jachtu Hohenezollern. Komisarz, śledząc te doniesienia, myślał tylko czasami, skąd biorą się te informacje. Nie znalazł innej odpowiedzi niż ta, że ktoś niepowołany przeczytał jego raport i przekazał prasie. Albo komuś wszystko się pomieszało, albo robił to celowo dla wywołania sensacji?

Jest taka stara fotografia, na której widzimy piękny żaglowiec przy nabrzeżu w Nowym Porcie, ten sam, który widział komisarz w chwili, gdy odpływał. To trójmasztowa brygantyna o szlachetnej linii kadłuba i klasycznie wyprofilowanej rufie. Może przy wejściu do kanału portowego zaskoczyła ją burza, o czym świadczą świeże kaluże na nabrzeżu? **Może dlatego reje grot i fok masztu zostały umocowane w pozycji prawie pionowej do pokładu, aby woda mogła swobodnie wypłynąć i szybciej wysuszyć żagle?** Kadłub jest biały, widać wiele szczegółów w olinowaniu i wyposażeniu pokładu, nie wygląda na żaglowiec towarowy i pozostanie tajemnicą, w jakim celu tu przybył. Może tylko po to, aby ktoś wykonał mu ten portret i zanotował

przypadkiem jeszcze jeden szczegół. W prawym dolnym rogu fotografii widzimy mężczyznę. To Hendrick Goltzius, który za chwilę wyjdzie poza kadr i zniknie na zawsze. Jego odbicie, które widzimy w kaluży, zatrze podmuch wiatru, a woda wyschnie i wszystko się skończy.

Ktoś mógłby zapytać, co się stało z drzeworytem, dla którego snulem tę opowieść? W historii sztuki jest znany jako *Wielka fala w Kanagawie*. Został wykonany w 1831 r., analizowany był wielokrotnie i jest uważany za wybitne dzieło sztuki, do czego ja również się przychyliam. Pamiętamy, że Goltzius przypinał grafikę szpilką do krawata do ściany pokoju, w którym mieszkał, tą samą, którą podniósł potem z podłogi komisarz i położył na stole. Przypinał ją w ten sposób, aby dolna krawędź grafiki wchodziła w szczelinę między ścianą a odklejoną tapetą. Potem stało się tak, że igła odpadła, drzeworyt wsunął się jak list do koperty i tam pozostał. Goltzius zniknął, a tapeta została doklejona.

Dom, który tu opisałem, rysowałem jeszcze nie tak dawno. Mimo że już opuszczony, stał wśród starych drzew, a ja, oglądając jego wnętrze, dotarłem do skrzydła, w którym znajdował się pokój Holendra. Widziałem fragmenty starych gazet, na których widniała data 1908 r. Zostały przyklejone w celu wyrównania podłoża. Zobaczyłem także coś, co mogło wyglądać na fragment drzeworytu. Nie chciałem wtedy ryzykować odsłonięcia większego fragmentu, postanowiłem powrócić lepiej przygotowany, delikatnie namoczyć ten fragment i odsłonić obraz. Niestety, powróciłem za późno... Dom już nie istniał.

\*\*\*

Moje odkrywanie sztuki Dalekiego Wschodu trwa już wiele lat. Czasami wydawałoby się bez związku, jak historia opisana powyżej, jednak wszystko to dotyczy prawdziwych miejsc, sztuki i pewnych skojarzeń, które przechowuję w pamięci. Stocznia Gdańska jest dla mnie wyraźnie doznawanym poczuciem utraty, ale i osobistego sentymentu wobec gasnącej historii. Cały jej obszar to bardzo zmysłowy rodzaj pejzażu. Obecnie krajobraz ulega przemianom. Zostaje pozbawiony tych wartości, które go jednoznacznie określały, które były też fragmentem gdańskiej rzeczywistości, indywidualnych cech i niepowtarzalności tego miejsca. Widziane z perspektywy Stocznia miasto, jeszcze nie tak dawno, poprzez ogromne dźwigi, hale i inne budowle z końca XIX i XX wieku tworzyło rodzaj syntezy, wartość samą w sobie, tak cenną dla Gdańska. Wszystko to było nakładającymi się warstwami, których kres wyznaczało Stare Miasto z wieżami kościołów i pasmo wzgórz morenowych pokrytych lasami. Zawsze widziałem Stocznia z perspektywy ulicy, gdzie za ceglany murem roztaczał się nieznaną obszar, do którego nie miałem wstępu. Jednak znajdowałem miejsca, z których scena tego teatrum robiła szczególnie wrażenie, a płynące

chmury, gdy układały się w dramatyczne konstrukcje, dodawały widokowi majestatu i pobudzały wyobraźnię. Takie obrazy widziałem z mostu Siennickiego i przy ujściu Strzyży z mostu na Ostrów, dawniej nazywany Holm. Źródła tej nazwy nigdy nie chciałem poznać, aby nie straciła uroku tajemnicy strzeżonej od dzieciństwa. Po przeciwnej stronie mostu ciągnęły się kanały, nabrzeża i nie wiadomo gdzie kończyły się stocznie, a zaczynał port i tak do ujścia Martwej Wisły do Zatoki Gdańskiej w Nowym Porcie.

W Stoczni bywałem często, przede wszystkim, aby rysować, i trudno sobie wyobrazić, by mogło to mieć jakikolwiek związek z dziełami Hokusai. Jednak kilka lat temu w bramie do jednej z hal dawnej Stoczni Cesarskiej odkryłem okno o żelaznym szkielecie z podziałami wyznaczającymi kwadratowe pola. Szyba jednego z tych pól była rozbita w niepowtarzalny sposób, tworząc z pozostałych odprysków szkła wręcz idealnie zakomponowany wizerunek góry Fuji, podobny do tych, które widzimy na drzeworytach mistrza. Wracałem do tego miejsca wiele razy i tylko po to, aby jeszcze raz obejrzeć jak w muzeum wystawione dzieło w jego kolejnych odsłonach – w różnej kolorystyce, o różnych porach roku i dnia, także nocą.

Wszystko to pewnie trochę dziwne, jednak bywa, że skojarzenia czasami bardzo odległe od tego, co je wywołuje, zataczają wielki krąg. Jak w przypadku cyklu drzeworytów ukazujących górę Fuji, utrwalają obraz kanonu i prowokują wyobraźnię do rozważań, jak te opisane powyżej.

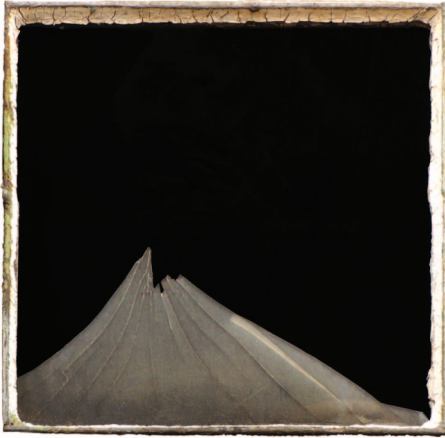
## SUMMARY

### FOUR VIEWS OF MOUNT FUJI SEEN FROM THE GDANSK SHIPYARD

Several years ago, drawing in the Gdansk Shipyard, I discovered in the gateway to one of the halls of the former Imperial Shipyard the window with a cast iron frame with the divisions marking the squares. The glass in one of these squares was broken, in an unique way creating out of the remaining splinters of glass almost perfect picture of Mount Fuji, similar to those seen in the master Hokusai's woodcuts. I returned to this place many times in order to see just once again, like in the museum, the artwork in its subsequent scenes, in different colours, at different times of a day and different times of a year, as well as at night.

It happens that the associations sometimes very distant from those that drive them, roll the great circle. It was the same in the case of a picture of the window, which stirred the imagination to the story presented in the article, which consists of the true facts and places, and the climate of Gdansk, where everything can happen.





Trzeci widok góry Fuji widziany ze Stoczni Gdańskiej (fot. A. Taranek, 2009)



Odkrycie widoku góry Fuji w Stoczni Gdańskiej (fot. A. Taranek, 2008)



Dworek w Nowym Porcie (A. Taranek, 2010)



Dworek w Nowym Porcie (A. Taranek, 2005)